
OSTATNIE WCZASY RODZINNE

Papież odwiedza Kraków * Maciek studentem * Synowie w Paryżu * Wczasy w Szklarskiej Porębie * Manewr inwestycyjny w Krakowie * Pociąg Przyjaźni * Rozprawy sądowe

Rok 1979 rozpoczął się od fali mrozów w Polsce i całej środkowo-wschodniej Europie. Pękały szyny kolejowe, linie energetyczne, sieci wodociągowe. W niektórych regionach kraju zasy py śnieżne sparaliżowały komunikację kolejową i samochodową. W kilku miejscach użyte zostały helikoptery wojskowe do ewakuacji pasażerów z „zasypanych” pociągów. A kolejarze wymyślili zastosowanie, zamontowanych na platformach kolejowych, odrzutowych silników samolotowych jako miotaczy ognia do usuwania oblodzenia i śniegu na torach i zwrotnicach. Przez pewien czas nieczynne były szkoły, a także część zakładów pracy.

Niedługo po „zimie stulecia”, w marcu i kwietniu, na skutek gwałtownej odwilży wystąpiły w Polsce powodzie. Dotknęły one szczególnie dorzecza Bugu i Narwi oraz Warty i Noteci. Zalane zostały tysiące hektarów upraw i dziesiątki miast. Sytuacja kryzysowa wystąpiła też w Krakowie, gdzie w obawie przed „zniesieniem” mostu Dębnickiego przez wezbrane wody Wisły, obciążono go dziesiątkami samochodów z blokami betonowymi.

W pierwszym półroczu wykonywałem w swym biurze dokumentację projektową na rozbudowę hoteli robotniczych przedsiębiorstwa budowlanego „Zetbeem”, zlokalizowanych na osiedlu Kozłówek w Krakowie. Program inwestycji dotyczył dobudowy pomieszczeń dydaktycznych, sportowych i dużej świetlicy-jadalni z zapleczem kuchennym. Rozwiązałem to w ten sposób, że trzy istniejące wolnostojące, czteropiętrowe bloki hotelowe połączyłem w poziomie parteru szerokim, przeszklonym korytarzem, który prowadził do budynku stołówki. Przy korytarzu tym, pomiędzy poszczególnymi hotelami, zaprojektowałem kolejno małe pawilony z salkami wykładowymi i z salami gier zespołowych oraz dużą świetlicę-jadalnię.

W dniu 2 czerwca rozpoczęła się wizyta papieża Jana Pawła II w Polsce. W ciągu 9 dni odbył on pielgrzymkę szlakiem wszystkich polskich „stolic”: Warszawy, Gniezna, Częstochowy i Krakowa. Wszędzie witały go rozentuzjasmowane tłumy rodaków. Do Krakowa przybył 6 czerwca późnym wieczorem. Z Błoń, gdzie wylądował helikopter, papież przejechał Alejami Trzech wieszczów na Wawel. Tam rozpoczął się oficjalny, bardzo pracowity, program jego pobytu w Krakowie, który trwał przez cztery dni.

W tym czasie prawie wszystko, co działo się w Krakowie, dotyczyło papieża, o nim tylko mówiono i pisano. Odbył on podróże do Kalwarii Zebrzydowskiej, rodzinnych Wadowic i Nowego Targu, wiele spotkań ze społecznością i duchowieństwem Krakowa i celebrował kilka mszy w opactwie Cystersów w Nowej Hucie, na Wawelu, w kościele Mariackim. Kulminacyjnym punktem pobytu Jana Pawła II była uroczysta msza dla miliona wiernych na Błoniach Krakowskich. Przybyli oni z całej Polski południowej, niektórzy wczesnym świtem, lub zgola nocowali na Błoniach. Zakończenie wizyty-pielgrzymki i pożegnanie papieża nastąpiło rano w dniu 10 czerwca na lotnisku krakowskim w Balicach, skąd specjalnym samolotem LOT-u odleciał do Rzymu.

W dniach 2-4 lipca 1979 r. Maciek zdawał egzaminy wstępne przed Wydziałową Komisją kwalifikującą na studia na Wydziale Elektrotechniki, Automatyki i Elektroniki Akademii Górniczo-Hutniczej im. St. Staszica w Krakowie. Sam dokonał wyboru rodzaju

studiów, od pewnego czasu marzył mu się bowiem zawód elektronika. Wydział ten był wprawdzie bardzo oblegany i ilość zgłoszonych kandydatów bodaj czterokrotnie przekraczała limit przyjmowanych na studia, jednakże Maciek miał spore szanse. Mianowicie oba podstawowe egzaminy z matematyki i fizyki zdał z wynikiem bardzo dobrym, gorzej było tylko z egzaminem z języka angielskiego, z którego otrzymał ocenę dostateczną. Ale uzyskał dodatkowe punkty kwalifikacyjne za pierwsze miejsca w licealnych olimpiadach matematycznej i fizycznej.

Zaraz po tym obaj synowie polecili samolotem, wraz z kilkunastoma harcerzami Krakowskiej Chorągwi ZHP, do Francji. Była to jakby reminiscencja podobnej wycieczki z 1972 roku, w której wzięli udział obaj nasi synowie, jako świeżo upieczeni harcerze. Nowa wycieczka organizowana była przez UNESCO i miała charakter obozu lingwistycznego, którego celem było pogłębienie znajomości języka francuskiego. A nasi chłopcy od wielu już lat uczęszczali na kursy tego języka w Instytucie Francuskim w Krakowie. Oczywiście wszyscy pojechali w paradnych mundurach harcerskich, prezentując się bardzo okazale.

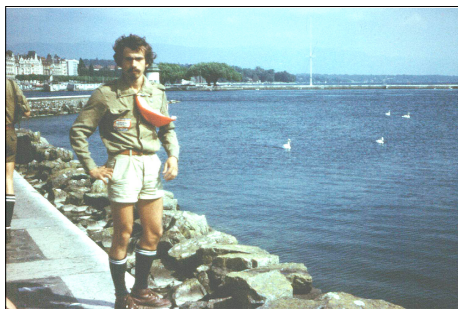
Nasi harcerze przebywali we Francji głównie w Paryżu, zwiedzając go w miarę szczegółowo. Zwiedzili również Wersal oraz kilka dni bawili w Alpach Sabaudzkich w Chamonix. W drodze powrotnej do Paryża zatrzymali się w Dijon, w którym przebywali również w 1972 roku. Grzegorz zdążył nawet odwiedzić rodzinę, u której wówczas mieszkał.



Maciek w Paryżu (po prawej)



W Chamonix w obozie harcerskim (po prawej)



Nad Jeziorem Genewskim w Szwajcarii



Grześ w ogrodach Wersalu

W czasie pobytu synów we Francji, gościła u nas moja siostrzenica Grażyna z mężem Krzysztofem i swymi dwoma dziećmi. Ania miała już trzy latka, a Artur jeden rok. Było upalnie i słonecznie, więc przez wiele godzin wygrzewaliśmy się na plaży kąpieliska w Kryspinowie.

W dniu 13 lipca w dziekanacie Wydz. Elektroniki AGH ogłoszona została lista kan-

dydatów przyjętych na studia na tym wydziale. Oboje z Kasią poszliśmy do AGH, by dowiedzieć się, czy nasz Maciek został na studia przyjęty. Nie musieliśmy nawet wchodzić do gmachu Wydziału, gdyż lista przyjętych wywieszona była na zewnątrz, na drzwiach wejściowych do budynku. Ku naszemu zadowoleniu Maciek figurował na tej liście. On sam dowiedział się o tym dopiero za kilka dni, po przylocie z Paryża.

W 1979 r. tylko jeden raz byliśmy na wczasach rodzinnych. Były to zresztą w ogóle ostatnie wczasy, na jakie pojechaliśmy razem z synami. Pierwszy raz, nie licząc pobytów u dziadków w Kępnie, wspólny urlop spędziliśmy na dwutygodniowych wczasach FWP w Szklarskiej Porębie Górnej w kwietniu 1967 roku. Grześ wtedy miał cztery latka, Maciek niespełna siedem. Od tego czasu przebywaliśmy na różnych krajowych wczasach 20 razy, a na zagranicznych 9 razy.

W sierpniu 1979 r. kończyliśmy ten 13-letni festiwal wczasowy tam, gdzie go zaczynaliśmy, czyli w Szklarskiej Porębie, tyle że domy wczasowe, w których kwaterowaliśmy, usytuowane były dokładnie na przeciwnych krańcach tej uroczej miejscowości.

Ostatnie wspólne wczasy spędziliśmy bardzo czynnie. Prócz spacerów po całej Szklarskiej Porębie, do huty szkła „Julia”, wodospadów Kamieńczyk i Szklarka oraz na Szrenicę - kilka dni poświęciliśmy na wyjazdy do Karpacza, Cieplic i Jeleniej Góry. Było to więc jakby pożegnanie się z tym, chyba najpiękniejszym, zakątkiem Polski, jakim jest region Karkonoszy.

Faktycznie to jeździłem tam także w późniejszych latach, ale tylko z żoną, bez synów. W 1979 roku Maciek miał już 19, a Grześ 16 lat i podróże z rodzicami przestały ich bawić. Ruszyli na swe własne szlaki, które w najbliższych latach wiodły, najprościej mówiąc, głównie na południe i zachód Europy.



Przy wodospadzie Szklarka

We wrześniu 1979 r. minęło 20 lat mej pracy w Krakowskim Biurze Projektowo-Budowlanym Budownictwa Ogólnego. W tym czasie biuro kilka razy zmieniło swą nazwę, rozbudowało się do ponad 300 pracowników i trzykrotnie zmieniało swą siedzibę. Od czterech lat mieliśmy własny 10-piętrowy biurowiec przy ul. Powstańców Warszawy. Zaprojektowany on został w naszym biurze, a na budowę zaciągnęliśmy kredyt bankowy, jaki następnie spłacaliśmy z zysku przedsiębiorstwa do końca lat osiemdziesiątych.

Biuro wykonywało głównie kompleksową dokumentację projektową na nowe osiedla mieszkaniowe w Krakowie. W latach 70. były to osiedla zachodniej części Bieńczyca, Mistrzejowickie, Podwawelskie, Krowodrza Górka, Prądnik Czerwony, Prądnik Biały, Cegielniana i zespół osiedli Ruczaj, w których łącznie w tym dziesięcioleciu zamieszkało ponad 100 tysięcy ludzi. Opracowaliśmy również dwa osiedla na zlecenia eksportowe. Były to osiedle Mishraq w Iraku i duże osiedle Peitz w NRD.

Kondycja biura była w tym czasie bardzo dobra, uchwałą Rady Pracowniczej wprowadziliśmy m.in. dodatek za wysługę lat dla pracowników, zatrudnionych w biurze przez okres ponad 15 lat. W 1979 roku ustanowiliśmy wewnętrzną odznakę „Zasłużony pracownik KBPBO”, jakie po raz pierwszy wręczone zostały kilkunastu pracownikom w dniu 24.X.1978 r. z okazji 25-lecia istnienia biura. Ja otrzymałem tę odznakę z kolejnym numerem 2, zaś we wrześniu 1979 r. „Dyplom uznania za 20-letni staż pracy w Biurze”.

Natomiast bardzo poważnie w drugiej połowie lat 70. zachwiana została kondycja

inwestycyjna państwa. Mianowicie wystąpiły trudności związane głównie z finansowaniem nowych inwestycji, a to na skutek wyraźnego „przegrzania” inwestycyjnego. W 1978 i 1979 latach zastosowano wówczas odgórnie tak zwany „manewr gospodarczy”, który polegał przede wszystkim na czasowym wstrzymaniu realizacji określonych przedsięwzięć inwestycyjnych. Manewr dotyczył również Krakowa i objął kilkanaście dużych inwestycji, jakich w mieście było wiele.

Przed wszystkim realizowane były w Krakowie cztery olbrzymie inwestycje komunalne o zasadniczym znaczeniu dla aglomeracji miejskiej. Były to rozbudowa Elektrociepłowni w Łęgu-Czyżynach, budowa zbiornika retencyjnego wraz z ujęciem wody pitnej na Rabie w Dobczycach, oczyszczalni miejskiej i autostrady obwodnicowej z mostem na Wiśle. Żadna z tych inwestycji nie została wstrzymana. Przydarzyło się to później, po kilku latach, oczyszczalni ścieków i budowie autostrady. Natomiast w elektrociepłowni w latach 80. zrealizowano wszystkie 3 etapy rozbudowy, zabezpieczając w ciepło grzewcze cały Kraków na dziesięciolecie. Podobnie dokończenie zbiornika-ujęcia wody w Dobczycach i budowa dwóch rurociągów tłocznych, każdy o średnicy 1 m, rozwiązały radykalnie problem zaopatrzenia miasta w dobrą wodę pitną.

Kontynuowano również, choć z pewnymi przestojami, budowę ogromnego wielooddziałowego szpitala miejskiego na 800 łóżek w Bieńczycach. Natomiast wstrzymano na kilka lat budowę wielkiej hali sportowej KS „Wisła” przy ul. Reymonta i częściowo budowę Wydziału Mechanicznego Politechniki na oś. Lotnisko w Bieńczycach oraz Centrum Prasy przy al. Pokoju. Szpital, po wielu perturbacjach, uruchomiono etapami w latach 1985-1992, podobnie obiekty Politechniki w Bieńczycach, zaś halę KS „Wisła” ukończono już w 1987 roku.

Centrum Prasy składało się z 3 budynków: administracyjnego, produkcyjnego i socjalnego. Wieżowiec administracyjny miał służyć dla redakcji większości krakowskich dzienników i czasopism. Jego budowę przerwano, gdy był już wykonany w stanie surowym zamkniętym. Ostatecznie, po przebudowie w latach 90-tych, znalazły tu swą siedzibę Bank PKO S.A. i dziesiątki różnych pomniejszych firm prywatnych. Budynek produkcyjny kontynuowano bez zahamowań, by w 1985 roku uruchomić w nim najnowocześniejsze centrum poligrafii w Polsce (obok podobnej drukarni w Gdańsku). W 1992 r. sprzedano jednak obiekt niemieckiemu koncernowi prasowemu Bertelsmana, bodaj za kwotę poniżej kosztów inwestycyjnych. Budynek socjalny, który miał zawierać stołówkę, świetlicę, szatnie itp. dla pracowników drukarni, wykończony został z kilkuletnią zwłoką.

Na zawsze przerwano budowę biurowca NOT przy Rondzie Mogiłskim. Obiekt ten to w ogóle jaskrawy przykład niefrasobliwości inwestycyjnej lat siedemdziesiątych. Naczelna Organizacja Techniczna posiada swe biura przy ul. Straszewskiego, ale ambitny zarząd a prezes w szczególności, umyślili sobie wybudować, za państwowe pieniądze, nową siedzibę bez mała na skalę Montparnasse w Paryżu. A więc: najwyższy w Krakowie wieżowiec biurowy, sala audiowizualna na 500 osób, liczne sale wystawowe i wykładowe, restauracja, kawiarnia, bary, hotel dla gości, wszystko z pełną klimatyzacją. Projekty wstępne opracowane zostały niby w czynie społecznym, a budowa rozpoczęła bez formalnego zatwierdzenia założeń techniczno-ekonomicznych. I nie wiadomo na jakiej podstawie Mostostal szybko zmontował cały stalowy szkielet 24-piętrowego wieżowca. W 1979 r. budowę przerwano, bez jakiegokolwiek nadziei na kontynuację jako siedziby dla NOT. A po dwudziestu latach stalowa konstrukcja skorodowała i właściwie dziś to najwyższe „szczęście” Krakowa nie nadaje się chyba nawet na zyletki.

Natomiast Telewizyjna Wytwórnia Filmowa w Łęgu uniknęła tymczasem groźby czasowego wstrzymania budowy w ramach „manewru gospodarczego” i kontynuowana była pełną parą. Jeszcze w drugim kwartale 1979 roku ukazała się w „Gazecie Południowej” notatka o szybkim postępie robót budowlanych. Faktycznie gotowe już wtedy

były w stanie surowym zamkniętym bloki B1, B2, C, F, w których w najbliższym czasie miały się rozpocząć roboty instalacyjne, oraz kończył się, prowadzony przez Mostostal, montaż stalowej konstrukcji dachu hali zdjęciowej. Artykuł optymistycznie wieścił, że zakończenie budowy I etapu TWF nastąpi w 1980 r. Tak się jednakże nie stało. Faktycznie to pierwsze obiekty Wytwórni oddane zostały do użytku w roku 1987, a całość I etapu zaczęła pracować dopiero w 1991 roku. Było kilka powodów tego opóźnienia w realizacji inwestycji.

Po pierwsze w latach osiemdziesiątych zmalała ranga inwestycji TV, podczas gdy priorytetowe stało się budownictwo szpitalne i mieszkaniowe. Więc w 1980 r. cała załoga budowlana Wytwórni oddelegowana została do budowy nowego, dużego pawilonu łóżkowego przy Szpitalu Okulistycznym w Witkowicach, a następnie, po jego ukończeniu, do budowy kilku bloków mieszkaniowych na osiedlu Biezańów Nowy. Ostatecznie realizację inwestycji wznowiono dopiero od 1984 r., ale już bez pierwotnego tempa.

Drugim powodem były zmiany programowo-technologiczne, wprowadzone w związku z bardzo szybkim rozwojem techniki telewizyjnej. Zrezygnowano między innymi całkowicie ze stosowania tradycyjnej, optycznej techniki filmowej na rzecz zapisu elektronicznego. Zmieniła się nawet nazwa inwestycji na Telewizyjne Studio Widowskowe OTV w Krakowie. Równocześnie niemiecki kontrahent z Lipska odmówił dostawy swych bloków klimatyzacyjnych, gdyż całą produkcję skierował na obiekty sportowe budowane w Moskwie w związku z igrzyskami olimpijskimi w 1980 r.

Po trzecie stało się jasne, że drugi etap przedsięwzięcia inwestycyjnego nie będzie realizowany bezpośrednio po ukończeniu etapu pierwszego, jak to pierwotnie zakładano. Zresztą z II etapu realizacji potem zupełnie zrezygnowano.

Tak więc zaistniała potrzeba wprowadzenia poważnych zmian do dotychczasowej dokumentacji projektowej. Miałem znów, wraz z zespołami branżowymi, wiele roboty na kilka kwartałów i z trzyletniej przerwy w realizacji TW byłem raczej zadowolony, gdyż pozwoliła uniknąć przeróbek i strat z tego tytułu na budowie.

W październiku znalazłem się w szpitalu przy ul. A. Galla w Krakowie. Mianowicie przez wiele tygodni robiły mi się na brodzie małe ropnie, które swędziały, utrudniały golenie się i w ogóle wyglądały obrzydliwie. Lekarz, do którego się zwróciłem, orzekł, że jest to zapewne spowodowane uczuleniem na jakieś pożywienie lub tp. Co kilka dni rezygnowałem więc z jakiejś potrawy, ale żadnego efektu nie było. Wreszcie Kasia, nieomal „na siłę” ulokowała mnie w szpitalu na wydziale internistycznym-gastroycznym, celem przeprowadzenia odpowiednich badań i obserwacji.

Po raz pierwszy znalazłem się w szpitalu i po raz pierwszy przeszedłem cały szereg różnych badań, jak morfologia krwi, rtg przewodu pokarmowego i klatki piersiowej, sonda dwunastnicy, elektrokardiogram, badania wątroby, nerek, gardła, oczu. Po raz pierwszy dowiedziałem się też, jaką mam grupę krwi, co wpisano także do mego dowodu osobistego. Wyniki tych badań ujęte zostały później w jednym dokumencie - karcie informacyjnej. Wynikało z niej właściwie, że jestem okazem zdrowia, chociaż znaleziono nieznaczne zaburzenia w ukrwieniu mięśnia sercowego i kazano wyrwać jeden ząbek. Ale wszystkie te badania nie dawały odpowiedzi na co jestem uczulony i jak usunąć uciążliwe ropnie na brodzie.

Badania przeciągnęły się w czasie, bo do niektórej aparatury były kolejki, określone dni pracy itp. Leżałem więc w sumie aż 11 dni na ogólnej pięciolóżkowej sali chorych. Nie zmarnowałem jednakże tego czasu na wylegiwanie się na łóżku i stękanie, jak to czynili pozostali pacjenci, chyba autentycznie chorujący. Wstawałem rano, ścieliłem pościel, siadałem na krzeselku i studiowałem podręczniki projektowania uzbrojenia i instalacji sanitarnych, wentylacyjnych i grzewczych, robiłem sążniste konspekty, pisa-

łem referaty, czytałem czasopisma, książki itp. Byłem cały czas w pełni sprawny fizycznie i psychicznie, gdyż otrzymywałem co dzień rano porcję lekarstw w kubeczku wyrzucałem skrycie przez okno. Domyślałem się, że między innymi były tam pigułki relanium, bo pacjenci w szpitalu powinni być spokojni, apatyczni, śpiący i bezwolni.

Dopiero przedostatniego dnia swego pobytu w szpitalu znalazłem się w gabinecie dermatologa. Był nim wysoki, młody lekarz, znany z tego, iż lubił gawędzić z pacjentami. W moim przypadku popatrzył, o coś zapytał i powiedział krótko: „Ja pana wyleczę!”. Po czym wypisał receptę na jakąś miksturę według własnego pomysłu i kazał nią smarować wredne ropnie. Apteka przyszpitalna wykonała w tym samym dniu przepisaną maść, która wyglądała jak towot i śmierdziała okropnie. Na drugi dzień, już będąc w domu, zacząłem nią smarować chorą brodę i ropiejące bąbelki w ciągu dwóch dni zniknęły bez najmniejszego śladu.

Od 1978 roku wykonywałem szereg różnych projektów na terenie gminy Dobczyce, związanych z budową zbiornika wody pitnej dla Krakowa na Rabie. Dotyczyły one szkoły podstawowej, pawilonu handlowego i POM w Brzączowicach, szkoły w Brzezowej, zaś w samych Dobczycach projektowaliśmy duże pole campingowe i park miejski. Te prace, jak i cała moja działalność projektowa dla Krakowa, były powodem przyznania mi w czerwcu złotej odznaki „Za Zasługi dla Ziemi Krakowskiej”. Z kolei ta odznaka spowodowała, że zostałem zakwalifikowany do udziału w wycieczce „Pociągiem przyjaźni” do Związku Radzieckiego. Koszt wycieczki wynosił 7.500 złotych, więc był raczej wysoki, ale organizator wycieczki, to jest PBP „Orbis”, gwarantował wysoki standard imprezy pod każdym względem. Ponad to uczestnicy mogli wykupić w formie kieszonkowego po 80 rubli na osobę.

Wycieczka była ogólnopolska, zbiórka uczestników miała miejsce na Dworcu Centralnym w Warszawie, skąd o północy 11 listopada nasz pociąg, złożony tylko z wagonów sypialnych, ruszył w pierwszy etap podróży do Mińska. Przedziały wagonów miały jedynie po 4 miejsca noclegowe, więc podróżowaliśmy bardzo wygodnie. Ja spałem smacznie do rana, do momentu przyjazdu do Kuźnicy Białostockiej. Przesiadka i postój na granicy trwały kilka godzin, więc w Grodnie byliśmy o 11,10, a do Mińska przyjechaliśmy dopiero o 21,30, przy uwzględnieniu dwugodzinnej różnicy czasu strefowego. W składzie pociągu były dwa wagony restauracyjne, mieliśmy więc zapewnione wszystkie posiłki w godzinach wyznaczonych dokładnie dla poszczególnych wagonów.

W Mińsku czekało na nas 10 autokarów, które rozwiozły uczestników wycieczki do kilku hoteli. Moja krakowska grupa zamieszkała w nowym 12-kondygnacyjnym hotelu „Jubilejnaja”, w komfortowych pokojach 2-osobowych z natryskami. Podczas wystawnej kolacji w hotelowej restauracji przygrywała orkiestra, to też niektórzy tańczyli ochoczo na parkiecie.

Na drugi dzień rano, po śniadaniu, złożonym m.in. z salami, jajecznicy, żółtego sera i dżemu, pojechaliśmy autokarami na objazd miasta.

Hotel „Planeta” w Mińsku

Mińsk to 1,4 milionowe miasto, rozległe, ma dużo parków, liczne nowe, kolorowe osiedla mieszkaniowe, dzielnicę wysokich budynków rządowych.

Obiad zjedliśmy w jednej z centralnych restauracji miasta. Składał się z przystawki z szynki, potem rosół z makaronem, befsztyk z frytkami, groszkiem i kapustą, na deser



Mam 52 lata



kompot lub piwo, kawa i lody. Po południu natomiast zwiedzaliśmy Muzeum II Wojny Ojczyźnianej na Ziemi Białoruskiej: zdjęcia, obrazy, broń, mundury, dokumenty, spisy oddziałów partyzanckich, krótkie seanse filmowe itd.

Popołudnie trzeciego dnia poświęcone było na wyjazd w okolice Mińska, gdzie zwiedziliśmy spaloną w sierpniu 1943 roku wieś, zamienioną na muzeum. Kikuty komi-nów, rzeźby, tablice ze spisami obozów zagłady na Białorusi, sarkofagi z prochami 158 wsi, w których Niemcy zabili wszystkich mieszkańców, dzwony dzwoniące co pół godziny. Oprawdzał nas jeden z dwu ocalałych ludzi z tej wsi, który cudem przeżył, jako małe dziecko, nakryty ciałem swej matki. Makabryczne historie.

Po obiedzie mieliśmy czas do własnej dyspozycji. Ja wybrałem się do śródmieścia na drobne zakupy. Byłem też świadkiem nietypowej scenki, jak dwóch cywili z opaskami na ramionach, prowadzili pijanego osobnika. Potem dowiedziałem się, że przebywanie w miejscach publicznych w Mińsku w stanie nietrzeźwym jest zabronione. Tych, którzy łamią ten przepis, tamtejsze ORMO, patrolujące ulice, odstawiało do izby wytrzeźwień, co sporo delikwentów kosztowało.

Trzecią noc wycieczki spędziliśmy znów w pociągu. Obudziłem się dopiero, gdy było już widno. Przez okno widać było tylko niekończące się lasy, przetykane gęsto białymi pniami brzoź. Wreszcie o 9,30 zatrzymaliśmy się na dworcu Białoruskim w Moskwie. Na peronie powitała nas orkiestra kolejarska, prezes TPRP oraz przedstawiciele „Inturistu” i ambasady polskiej. Po czym były krótkie przemówienia i autokary zabrały nas od razu na zwiedzanie miasta. Bowiem śniadanie zjedliśmy wcześniej w pociągu.

Moskwę już zwiedzałem sześć lat wcześniej i część trasy wycieczkowej się powtarzała: Kreml, Wzgórza Leninowskie, Łuźniki, Prospekty Kalinina i Mira. Wreszcie późnym popołudniem wylądowaliśmy w hotelu „Kosmos” na wprost Wystawy Osiągnięć Gospodarczych. Został on oddany do użytku dosłownie w przeddzień naszego przyjazdu, tak że obsługa zdejmowała w naszych pokojach pokrowce z foteli i uzupełniała jeszcze różne drobiazgi w wyposażeniu. Hotel wybudowany został „pod klucz” przez Francuzów i Jugosłowian, miał 3 tysiące łóżek, 30 pięter, różnej wielkości windy strefowe, marmury, brązy, w przyziemiach rozliczne restauracje, bary, sklepy, sale konferencyjne, baseny, sauny itd.



Hotel „Kosmos” w Moskwie

W swym pokoju nie bardzo umiałem sobie poradzić ze zdalczynnym uruchamianiem lamp i kinkietów, telewizora, żaluzji i zasłon okiennych itd. Ale to później, bo zaraz, po rozpakowaniu rzeczy, zjechaliśmy wszyscy do hotelowej restauracji. I znów był koncert kulinarny: przystawka z łososia i sałatek, barszcz czerwony z mięsnym krokiem, pieczeń wołowa z frytkami i groszkiem, lody, kawa. Po obiedzie wraz z kilkoma uczestnikami wycieczki pojechaliśmy na zakupy do „GUM” i „Dietskij Mir”. Wieczorem w telewizji była akurat godzinna audycja polska o



Plac i ul. A. Gorkiego w Moskwie

naszych osiągnięciach w historii olimpiad, prowadzona świetnie przez Hopfera i Bohdana Tomaszewskiego.

Następnego dnia program przewidywał zwiedzanie Kremla. Ja zwiedzałem go do-

kładnie w 1973 roku, więc wybrałem się solo na Wystawę Osiągnięć Gospodarczych, głównie do pawilonu „Kosmos”, w którym w międzyczasie przybyło wiele nowych obiektów satelitarnych, rakiet itd. Po obiedzie znów zwiedzaliśmy centrum Moskwy, trochę pobłądziliśmy metrem. Potem pakowanie się, zbiórka w holu i o północy przejazd na dworzec Leningradzki.

W Leningradzie znaleźliśmy się następnego dnia o godz. 9,30. Znów od razu ruszyliśmy na zwiedzanie miasta. Ma ono niewątpliwie swój własny, niepowtarzalny charakter. Duże przestrzenie, sporo placów, kolorowa, koronkowa architektura, mnóstwo pałaców i pomników, dużo zieleni, kanałów, mostów. Na rzece Newie, szerokiej na 800 i o głębokości 21 metrów, spławnej dla statków morskich, wszystkie mosty są zwodzone. Autokary przewiozły nas przez centrum miasta, byliśmy m. in. przed pałacami Smolnym i Zimowym.



Krążownik „Aurora” na Newie

Po obiedzie składaliśmy wieniec na Cmentarzu Ofiar Wojny Ojczyźnianej, na którym pochowanych jest ponad pół miliona ludzi, zmarłych z głodu, zimna i bombardowań, głównie w 1942 roku. Kilkadziesiąt pryzm grobowcowych w równych rzędach, na każdej płyta z datą zgonu i biały kwiat. Środkiem cmentarza przebiega aleja z rzędami drzew, na jej początku dwa muzea ze zdjęciami oblężonego przez Niemców miasta. Na końcu wielka ściana marmurowa z rzezbami i napisami, obok monumentalny posąg kobiety, szeregi głośników ze ściszoną muzyką żałobną. Duże wrażenie!

W kolejnym dniu zwiedziliśmy muzeum „Ermitaż”. Obejmuje ono kilka budynków, połączonych galeriami, około 2.000 sal, zawiera łącznie 2.700 tysięcy eksponatów. Sale przebogate: rzeźby, stiuki, kasetony, marmury, kryształowe żyrandole, parkiety mozaikowe, antyczne meble. Wystawiane głównie malarstwo XV-XVIII wieku: rosyjskie, holenderskie, francuskie, flamandzkie, również rzeźby, porcelana itp. Po południu zwiedziliśmy Twierdzę Pietropawłowską, a w niej m.in. cerkiew z trumnami 22 carów.

W trzecim, ostatnim dniu pobytu w Leningradzie autokarami pojechaliśmy do Carskiego Sioła. Jest to duży zespół pałacowy, odbudowany po całkowitym zniszczeniu w czasie wojny, jako filia muzeum „Ermitażu”. Więc znów obrazy, rzeźby w niekończących się amfiladowych salach o przebogatych wnętrzach.

Popołudnie poświęcone było na zakupy w „Uniwermagu”. Jest to zabytkowy, największy w mieście dom handlowy, jest tylko piętrowy, ale o wymiarach 500x500 metrów. Zawiera niekończące się amfiladowe pasaże. W samym środku budynku jest stacja metra. Niektórzy uczestnicy wycieczki wracali do hotelu obładowani towarami niczym wielbłądy. Najwidoczniej dysponowali znacznie większymi kwotami niż wynosiło oficjalne kieszonkowe 80 rubli. Zresztą obserwowałem, że po kątach hoteli, w których mieszkaliśmy, prowadzone były jakieś potajemne sprzedaże towarów przywiezionych z Polski, najczęściej wyrobów dzinsowych. Ja miałem około 100 rubli, bo na miejscu wymienilem trochę polskich pieniędzy. A kupilem statyw fotograficzny, lampę błyskową, lornetkę teatralną, ozdobne szkatułki, misie pluszowe, lalki, zabawki mechaniczne i inne takie drobiazgi. W każdym bądź razie w Leningradzie wydałem wszystkie swe rubelki, dosłownie do ostatniej kopiejki.

Wieczorem ruszyliśmy w naszych sypialniach na kółkach w dalszą drogę, do ostatniego celu naszej wycieczki, jakim było Wilno. Na miejscu byliśmy znów o godzinie 9-tej, już po konsumpcji śniadania, więc, podobnie jak w Moskwie i Leningradzie, od razu ruszyliśmy na zwiedzanie miasta. Wilno to bardzo piękny gród, malowniczo położony na

kilku wzgórzach, ma dużo zieleni, liczne nowe, kolorowe osiedla mieszkaniowe o dobrej architekturze.



Również przeurocza jest wileńska Starówka z dziesiątkami kościołów. Oczywiście zwiedziliśmy przede wszystkim XVI-wieczną Ostrą Bramę z kaplicą na 1-szym piętrze, która rozczarowała mnie o tyle, że znajduje się jakby na korytarzu. Niestety sporo budynków na Starym Mieście było zrujnowanych. Wykonywano wszak aktualnie dość duże roboty renowacyjne. Przy czym nasz przewodnik chwalił się, że ostatnio remonty zabytkowych budynków prowadzone są według krakowskich wzorów w sposób kompleksowy, to jest całymi kwartałami.

Przewodnik zaprowadził nas także szybko do wielkiego sklepu z wyrobami z bursztynu, zajmującego partery kilku zabytkowych kamieniczek. Tam nasi Polacy dosłownie oszaleli. Nie mogłem się nadziwić skąd moi towarzysze podróży mieli jeszcze tyle pieniędzy. Kupowali jak leci: naszyjniki, branzolety, wisiorki, pierścionki. Wybór był przeogromny, a wszystko ponoć tanie jak „barszcz”. Ja

Fragment Starówki Wilna mogłem się tylko „oblizywać” widokiem, bo nie miałem już złamanej kopiejki. A wystarczyłoby kilka rubelków, by kupić żonie na pamiątkę chociażby niewielką, mieniającą się złotem, bursztynową broszkę. Faktycznie to te bursztyny najbardziej utkwiły mi w pamięci z całej 11-dniowej wycieczki „Pociągiem przyjaźni”.

13-godzinny pobyt w Wilnie zakończony został hucznym bankietem w wielkiej ekskluzywnej restauracji i występami w teatrze. Ten bankiet to było właściwie wielkie „zarcie”, okraszane czarnym kawiozem i podlewane obficie różnymi trunkami. Miał charakter jak najbardziej oficjalny, mianowicie podejmowani byliśmy przez nadzwyczaj sympatyczną I-szą sekretarz KPZR Litwy. Wygłosiła ona stosowne, acz bardzo krótkie, przemówienie i potem wzniosła pierwszy toast na cześć swych polskich gości, zapełniających całą salę. Oczywiście na jednym toaście się nie skończyło. I dlatego nie wszyscy wzięli potem udział w specjalnie dla naszej wycieczki zorganizowanym przedstawieniu w nieodległym teatrze.

Na estradzie występowały głównie litewskie zespoły taneczne i śpiewacze, ale także polskie, a nawet odegrano fragment „Halki” Moniuszki. Było to wielce sympatyczne i miłe, ale bardzo się następnie śpieszyliśmy na dworzec kolejowy, gdzie cierpliwie czekał nasz specjalny pociąg. Zresztą wyjechał z Wilna ze sporym opóźnieniem, a towarzystwo wagonowe jeszcze długo śpiewało, dopijało i ... chowało po kątach „ponadnormalne” ilości towarów, by nie dobrali się do nich celnicy na granicy. Nawet ja pewnej starszej, skromnej pani przewiozłem usłużnie jakąś część jej wielkich zakupów.

Zdażyłem się wyspać, nim dojechaliśmy do Grodna i granicy, w Warszawie byliśmy 21.XI o godz. 10-tej. Wykorzystując swój pobyt w stolicy, pojechałem jeszcze na ul. Jana Pawła Woronicza do Biura Projektowego KRiTV i tam przez kilka godzin załatwiałem swoje służbowe sprawy. Do Krakowa wróciłem dopiero wieczornym ekspresem.

Z wydarzeń światowych w 1979 roku najpoważniejszym było zaatakowanie i zajęcie Kambodży przez oddziały wojskowe Wietnamu. Powodem były uprzednie liczne incydenty graniczne i ludobójstwo, dokonywane przez reżym Pol Pota we własnym kraju. W odwecie Chiny rozpoczęły wielomiesięczną, ograniczoną wojnę przeciwko Wietnamowi. Również USA i państwa zachodnie pospieszyły z pomocą Pol Potowi, który schronił się w Tajlandii, skąd prowadził potem przez kilka lat wojnę partyzancką.

W Wielkiej Brytanii rządy przejęła partia konserwatywna, a premierem po raz pierwszy została kobieta, Margaret Thatcher. Zdobyła ona później przydomek „żelaznej damy” za swą bezkompromisową liberalną politykę gospodarczą. W lipcu we Wiedniu podpisany został przez główne mocarstwa układ SALT II o ograniczeniu zbrojeń, zwłaszcza nuklearnych. Natomiast w grudniu ZSRR rozpoczął wojskową interwencję w, trwającej już od kilku lat, wojnie domowej w Afganistanie, występując przeciwko islamskim rebeliantom. Tych ostatnich wsparły wydatnie Pakistan, Iran i USA. Wojna zapo-
wiadała się więc na bardzo długo.

W Polsce rok 1979 był rekordowym pod względem wielu wskaźników rozwoju go-
spodarczego. Produkcja niektórych wyrobów i surowców przemysłowych osiągnęła
najwyższe pułapy w historii Polski. Dotyczyło to siarki, miedzi, stali, cementu, a także
różnych gotowych wyrobów, jak pralki, radia, maszyny do szycia, statki i in. Na przykład
w 1979 r. wydobyto w Polsce 201 mil. ton węgla kamiennego, poczym jego produkcja w
latach 80. już tylko systematycznie malała, by w dekadzie lat 90. zmniejszyć się do 106
mil. ton, zresztą z zapowiedzią dalszej likwidacji tego dotychczas „narodowego” działu
przemysłu wydobywczego.

Jednym z głównych tematów pracowni PW-2 w latach 70. była dokumentacja pro-
jektowa na budowę nowego osiedla Prądnik Biały Wschód w Krakowie. Jest ono poło-
żone w północnej części miasta przy ul. Opolskiej i przewidywane było na 10 tysięcy
mieszkańców. Autorem projektu urbanistycznego była H. Malinowska, a budynki kuba-
turowe realizowano według dokumentacji autorstwa różnych projektantów krakowskiego
biura. Ja sam opracowałem projekty rejonowej przychodni lekarskiej przy ul. Bałtyckiej i
dużego wielobranżowego pawilonu handlowo-usługowego w środku osiedla. Przychod-
nia później wybudowana została w dwa lata i po wyposażeniu oddana do użytku. Nato-
miast pawilon handlowy dwukrotnie zmieniał swych użytkowników i głównego inwestora,
jego dokumentacja projektowa ulegała zmianom, a realizacja obiektu rozpoczęła się
dopiero w 1988 roku.

Bezpośrednio po ukończeniu prac, związanych z osiedlem Prądnik Biały Wschód,
kol. Malinowska zajęła się opracowywaniem projektu urbanistycznego kolejnego osiedla
mieszkaniowego „Cegielniana”, tym razem w południowej części Krakowa, pomiędzy ul.
Zakopiańską i rzeczką Wilgą. Również na tym osiedlu współpracowałem z nią, projek-
tując w 1980 r. cztery wysokie 11-kondygnacyjne budynki mieszkaniowe. Zostały one
potem szybko, w ciągu 3 lat zrealizowane.

W 1979 i 1980 roku uczestniczyłem w charakterze ławnika, czyli, jak to się mówiło,
„sędziego ludowego”, w kilkunastu procesach cywilno-karnych. Z reguły w procesach
tych poszczególni obywatele występowali o odszkodowania finansowe ze strony Skarbu
Państwa za poniesione straty lub krzywdy, doznane w wyniku działalności organów
państwowych.

Najczęstsze, wprost seryjne, były pozwy „ekologiczne”. Na przykład właściciel ma-
łej szklarni na ogródku działkowym w Pleszowie, za kombinatem hutniczym, domagał
się od przedsiębiorstwa odszkodowania za zniszczenie jego upraw przez dymy kombi-
natu. W pozwie opisał szczegółowo ile zasadził sadzonek kwiatowych, jakich gatunków,
ile zużył nawozów sztucznych, środków czyszczących na mycie szyb szklarni itd. Wy-
chodziły wielkie sumy, bo oczywiście uprawiał najdroższe gatunki kwiatów, przy czym
liczył koszty niedoszłej sprzedaży, i mył szyby inspektów bez przerwy, gdyż huta bardzo
dymiała. Na okoliczność tych wyliczeń adwokat powoda przedstawił świadka z tegoż
Pleszowa.

Potem powód określił stopień zniszczenia swych upraw na 70% i na tyle ocenił

straty, które powinna mu huta zrekompensować. W trakcie tego wywodu pomyślałem naiwnie, że powód zapewne jest bardzo bogaty, gdyż i te 30 % to było sporo. Na końcu rozprawy przedłożył on jednakże sądowi świadectwo ubóstwa z gminy, które zwalniało go od wszelkich opłat sądowych. Sędzina orzekła, że wyrok zostanie wydany później i zarządziła następną rozprawę. Znowu zdumiałem się, gdyż nikt nie wyszedł, ani nie wszedł na salę. Okazało się za chwilę, że następna rozprawa dotyczy podobnej sprawy zniszczenia przez hutę uprawy na działce ogrodniczej w Pleszowie. Z tym, że tym razem powodem był świadek z poprzedniej rozprawy, a tamten powód występował obecnie w roli świadka. Cała reszta, jak wyliczenie strat, wysokość dochodzonego odszkodowania itd. były identyczne.

W trakcie „narady” po rozprawie zgłosiłem swe wątpliwości sędzinie, uważając, że powinna być przeprowadzona co najmniej wizja lokalna dla sprawdzenia, czy przedmiotowe działki w ogóle istnieją, czy są na nich inspekty i ślady upraw itd. Sędzina była moim stanowiskiem oburzona, więc złożyłem votum separatum od postanowienia sądu.

Sporo było pozwów ludzi „skrzywdzonych” przez organa władzy państwowej. Na przykład ok. 40-letni mężczyzna żądał wysokiego zadośćuczynienia pieniężnego za krzywdy doznane przed pięcioma laty ze strony MO i krakowskiej Izby Wyrzeźwien. Z odczytanego pozwu wynikało, że poszkodowany, chory na epilepsję, siłą zabrany został z tramwaju nr 2 na przystanku Salwatorskim, poczym zawieziono go do Izby Wyrzeźwien. Tam bez żadnego przebadania lekarskiego, wleczono go za nogi korytarzem, w wyniku czego doznał stałego urazu głowy, ponadto ukradziono mu 200 złotych, jakie miał przy sobie. W związku z tym adwokat powoda żądał wysokiego odszkodowania, zwrotu skradzionej kwoty i ustalenia stałej renty inwalidzkiej.

Obecni przedstawiciele milicji i Izby Wyrzeźwien tłumaczyli wysokiemu sądowi, że taki przebieg wypadków nie mógł zaistnieć wobec obowiązujących i stosowanych procedur przyjmowania pacjentów. Np. przyjęcie rzeczy do depozytu dokonywane jest przez 3 osoby, w Izbie stale funkcjonuje lekarz itd. Ale jak faktycznie udowodnić, że 5 lat temu prezentowane wypadki nie miały miejsca? Nikt tego nie pamiętał, lekarz z tego okresu już nie pracował itd. Oczywiście sam powód nie musiał nic udowadniać.

Wyznaczona została druga rozprawa za tydzień, a w tym czasie w Komendzie MO miano w archiwum odszukać dokumenty dotyczące sprawy. Rzeczywiście na kolejne posiedzenie rzecznik MO przedłożył i odczytał protokoły milicyjne sprzed 5 lat. Według nich powód zabrany został z ławki na Plantach w stanie wyraźnie nietrzeźwym, co potwierdziło przeprowadzone w Izbie badanie. Wówczas sędzina zwróciła się do adwokata: „Co pan na to?” Tenże, z ledwo skrywanym uśmiechem, odpowiedział, że nie zmienia to istoty zaskarżenia, które zawiera dużo więcej zarzutów, z jakich oskarżeni nie są w stanie się wybronić.

Na moje proste poczucie sprawiedliwości, to przede wszystkim powód wraz z adwokatem powinni ponieść konsekwencję za bezczelne kłamstwo, a pozostałe zarzuty powinny być potraktowane, w tej sytuacji, jako niewiarygodne. Ja akurat projektowałem budynek Izby Wyrzeźwien, znałem formalne procedury jej działalności (lekarz, depozyty), zaś wszystkie posadzki w części budynku, przeznaczonej dla podopiecznych, zaprojektowałem jako miękkie, wykładane gumolitem, więc nawet nie było o co rozbić sobie głowę. To też i w tym wypadku złożyłem votum separatum do wyroku sądowego.

Częste też były sprawy dotyczące nieszczęśliwych wypadków. Na przykład mamusia dochodziła od Skarbu Państwa pokrycia dodatkowych kosztów prywatnego leczenia kilkunastoletniej córki, poparzonej w wyniku wybuchu gazu w jej mieszkaniu. Odszkodowanie za dokonane zniszczenia w kuchni, w której nastąpił wybuch, zostały już wcześniej wypłacone. W pozwie chodziło o rekompensatę za dodatkowe, poza szpitalne, prywatne leczenie córki, która doznała oparzeń twarzy i ręki. Składały się na nie opłaty

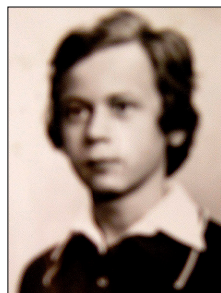
za codziennie angażowaną pielęgniarkę i jej dojazdy taksówką, wyjazd z Krakowa dwóch osób, również taksówką, do najlepszego specjalisty w Warszawie, prywatne koszty tegoż specjalisty, oraz dolarowe leki ze Stanów Zjednoczonych. Wyjątkowo, na tej rozprawie, opiekuńcza matka częściej od adwokata zabierała głos, opisując ze łzami w oczach swą tragiczną sytuację i stan psychiczny swej córki. Córka siedziała na sali, lecz ją samą nikt o nic nie pytał. Ja starałem się wypatrzeć te straszliwe oparzenia na jej twarzy, ale nic nie zauważyłem, być może ze względu na odległość, albo może zastosowane leczenie było rzeczywiście niezwykle skuteczne

Te procesy miały pewne wspólne cechy. Zawsze powodowie mieli swych prywatnych adwokatów, którzy zabierali głos w ich imieniu, zachowując się z reguły bardzo pewnie, wprost beczelnie. Gdy w poszczególnych sprawach odbywało się kilka rozpraw, to zwykle adwokaci rozszerzali roszczenia i zgłaszali co raz to nowe okoliczności. Ale najistotniejsze było to, że skarżący prezentowali się jako biedne, nieszczęsne ofiary, pokrzywdzone i maltretowane przez bezwzględną biurokrację, milicję, przedsiębiorstwa państwowe itd. I były te pozwy z reguły przyjmowane przez sąd jako dogmaty, nie wymagające dowodów. Żle to wróżyło dla stanu i trwałości państwa, gdy sądy a priori działały przeciwko interesowi państwa. Lecz było to w tamtym okresie czasu odbiciem stanów emocjonalnych i nastrojów społecznych, kształtowanych w coraz większym stopniu antypaństwowo. A tymczasem, przynajmniej te moje kilkanaście rozpraw, w jakich brałem udział w charakterze „bezwolnego” ławnika, były, w znacznej większości, jedynie prostym, łatwo czytelnym, sposobem na wyłudzenie przez różnych cwaniaczków i pieniaczy jak największych pieniędzy z państwowej kasy.

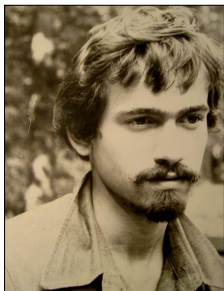
W maju żona, po wielu staraniach, uzyskała skierowanie na 3-tygodniowy pobyt w sanatorium w Busko Zdroju. Odwiedziłem ją tam, przyjeżdżając na trzy dni do tego starego miasta, funkcjonującego jako uzdrowisko od początków XIX wieku. Kasia zamieszkiwała z jakąś starszą panią w dwuosobowym pokoju w starym, przedwojennym budynku sanatoryjnym, położonym tuż obok Parku Zdrojowego w centrum miasteczka. Chodziła więc na spacerować do parku, a także na występy muzyczne i wokalne, jakie odbywały się w muszli koncertowej na terenie tegoż parku. Oczywiście przede wszystkim chodziła na zabiegi lecznicze, to jest kąpiele siarczane i masaże vibracyjne, związane z ujawnieniem się początków schorzenia kręgosłupa, które to dolegliwości faktycznie potem ustąpiły. Nadto jeździła całymi popołudniami na rowerze, wypożyczonym w sąsiednim domu wypoczynkowym. Robiła na nim dalekie wyprawy za miasto, dojeżdżając aż do Wiślicy, Pińczowa i Jędrzejowa.

Zagościłem na prywatnej kwaterze w pobliżu i razem z Kasią zwiedzaliśmy uzdrowisko i spacerowaliśmy po parku. Było w nim wiele wiewiórek, które biegały po drzewach i alejkach i wcale ludzi się nie bały. Po wypożyczeniu drugiego roweru, przez wiele godzin jeździliśmy razem po okolicznych drogach i bezdrożach. Razem wróciliśmy do Krakowa.

W czerwcu Grzegorz ukończył trzecią klasę Liceum Sztuk Plastycznych. Potwierdził się prawidłowy wybór specjalizacji zawodowej, dokonany przez niego, gdyż wszystkie oceny na świadectwie, dotyczące rysunku, malarstwa, rzeźby itp. były bardzo dobre. Można się więc było spodziewać, że na wyższe studia młodszy syn w przyszłości wybierze Akademię Sztuk Pięknych lub Architektura Politechnice Krakowskiej. Faktycznie zdecydował się studiować architekturę.



Grześ 1980



Zaś Maciek ukończył już I rok studiów na Wydz. Elektroniki AGH. I od razu zaangażował się od 1 lipca, na okres 2 miesięcy, do pracy w przedsiębiorstwie „ELTOR” w Krakowie na stanowisku elektromontera napowietrznych linii energetycznych. Chodziło oczywiście głównie o odbycie wymaganego przez uczelnię stażu pracy zawodowej w trakcie studiów. Z drugiej strony pełnoetatowa, nieźle płatna, praca dawała Maćkowi możliwość zarobienia własnych pieniędzy, jakie były mu bardzo potrzebne, gdyż pod koniec ferii wybierał się, wraz z kilkoma kolegami, na wycieczkę turystyczną do Bułgarii, którą później zamienili na Włochy.

Za miesięczną pracę otrzymał rzeczywiście sporo, bo prawie 4 tysiące złotych. Następnie w sierpniu, wraz ze swymi kolegami Przemkiem i Mirkiem, udał się na podobój słonecznej Italii. Między innymi zwiedzali, rzecz jasna, Wenecję. Jedną noc spędzili na Placu św. Marka, zresztą wśród dużej rzeszy młodych turystów. Tam ktoś z nich, lub jakiś tubylec, ukradł Maćkowi, w czasie snu, woreczek z wszystkimi posiadanymi lirami, który nieostrożnie włożył do plecaka. Nie pozostawało mu wtedy nic innego, jak powrót do kraju, oczywiście za pożyczzone od kolegów pieniądze. Po czym pojechał do Wiednia, z zamiarem podjęcia tam jakiejś sezonowej pracy zarobkowej. Przez kilka dni roznosił ulotki reklamowe po mieście, a następnie zatrudnił się „na czarno” w małej firmie budowlanej do prac pomocniczych.



Maciek atostopem na szosach Austrii

Grzesiek też zorganizował sobie zagraniczne ferie z dużym rozmachem. W dniu 9 sierpnia poleciał z Warszawy samolotem do Mediolanu. We Włoszech zabawił kilkanaście dni u Izy, kuzynki Kasi, zamieszkałej w Gallarate nad jeziorem Maggiore przy granicy szwajcarskiej. Iza, która wyjechała z Polski



Grześ na dachu Katedry w Mediolanie

do Włoch jako młoda dziewczyna, znalazła tam swą szczęśliwą przystań życiową. Przez kilka lat pracowała jako kosmetyczka, po czym wyszła za mąż za Włocha, lekarza-laryngologa, z bardzo zasobnej rodziny. Mieli bogato urządzone, obszerne mieszkanie i dwójkę dzieci w wieku 5 i 2 lata. Razem z Izą Grzegorz zwiedził kilka okolicznych miast nad brzegami jeziora Maggiore, piękne wysepki na nim, i najważniejsze zabytki Mediolanu: teatr operowy La Scala wraz z muzeum oraz kościół S. Maria della Grazia z „Ostatnią wieczerzą” Leonarda da Vinci.

Na drugą część swej zagranicznej eskapady pojechał pociągiem do Dijon we Francji. Zagościł w rodzinie, u której przebywał już w 1972 roku jako harcerz, a którą odwiedził również w 1979 r. podczas drugiego „harcerskiego” pobytu we Francji. Wówczas uzgodnił z nimi, że przyjedzie także w następnym roku. W międzyczasie przenieśli się oni do swej nowej wili w Mirabeau, ok. 20 km od Dijon. Grzegorz gościł tam u nich przez kilka tygodni, odbywając również z nimi, i ich córką Isabell, atrakcyjne samochodowe wycieczki do Dijon, Besancon i w głąb Alp.

W dniach 19.VII do 3.VIII 1980 r. odbyły się w Moskwie światowe igrzyska olimpijskie. Jednakże, już od początku roku, polityczne koła Zachodu, głównie Stanów Zjednoczonych, postulowały bojkot tych igrzysk, w związku z oskarżaniem ZSRR o agresję na Afganistan. W ogóle w pierwszym półroczu 1980 roku miało miejsce wyraźne natężenie przejawów zimnej wojny. Dotyczyły one nałożenia przez USA różnych sankcji gospodarczych na Związek Radziecki i szerokiej propagandy przeciwko odbyciu Olimpiady w Moskwie. Ostatecznie nie wzięły w niej udziału Stany Zjednoczone, NRF i jeszcze kilka innych państw Europy Zachodniej i Ameryki Południowej. W tej sytuacji, przy ograniczonej liczbie uczestników Olimpiady, ekipa polska uzyskuje rekordową ilość 32 medali, w tym 3 złote. Wielką sensacją były skok o tyczce Kozakiewicz i bieg z przeszkodami Malinowski.

W związku ze zorganizowaniem sobie ferii letnich przez naszych synów we własnym zakresie - po raz pierwszy od wielu lat, na dwutygodniowy urlop wypoczynkowy do Zakopanego pojechaliśmy z Kasią sami, we dwójkę. Nie staraliśmy się o żadne zorganizowane wczasy pracownicze, zakwaterowaliśmy w pokojach, wynajmowanych przez moje biuro w prywatnym domu przy ul. Za Strugiem 1. Sami przygotowywaliśmy sobie posiłki i sami zagospodarowaliśmy czas urlopowy. Poświęciliśmy go prawie w całości na łazęgę po okolicy i dolinkach Zakopanego. Zwiedziliśmy, na własnych nogach, kolejno wszystkie te dolinki - od Doliny Gąsienicowej po Chochołowską, przemierzając szlak grubo ponad sto kilometrów.

Nie interesowaliśmy się przez ten czas żadnymi zewnętrznymi sprawami. Dopiero na kilka dni przed końcem naszego pobytu, gaździna powiedziała nam, że w kraju dzieją się jakieś niedobre rzeczy, wszędzie strajki, a niektórzy mówią, że będzie wojna. Faktycznie w TV i radiu podawano o strajkach w Gdańsku, Gdyni i Szczecinie. Początkowo nie rozumiałem zupełnie o co w nich chodzi.

Jeszcze przed naszym wyjazdem do Zakopanego były pewne niepokoje i ograniczone strajki w fabryce traktorów „Ursus” i kolejarskie w Lubelskim, spowodowane wprowadzeniem w dniu 1 sierpnia rozszerzonej sprzedaży komercyjnej mięsa i wędlin. W sytuacji ich niedoborów na rynku po niskich cenach urzędowych, było to oczywiście równoznaczne z podwyższeniem cen na te towary. Ale rząd szybko wycofał się z tych podwyżek i zaczął wypłacać dodatki drożyzniane. Wydawało się więc, że podobnie jak w 1970 i 1976 roku sytuacja strajkowa została rozładowana.

Tym razem strajkującej załodze Stoczni Gdańskiej chodziło o przywrócenie do pracy jednej osoby - suwnicowej Anny Walentynowicz, wcześniej karnie, chyba za strajk, zwolnionej. Do tego strajku stoczniowców solidarnie przyłączyły się wkrótce załogi szeregu innych zakładów pracy w Gdańsku i Gdyni. Dziwna była ta skala strajku o jedną osobę. Zwłaszcza, jeśli ocenić go z perspektywy 20 lat, gdy z zakładów pracy zwalnianych jest tysiące pracowników, a bezrobotnych w kraju mamy ponad dwa miliony.

Więc już wtedy można było domniemać, że nie chodzi bynajmniej o nieznaną nikomu A. Walentynowicz. Szybko oceniłem, że to znacznie poważniejsza sprawa, a oficjalnie zgłoszony powód strajku jest tylko pretekstem. To też skróciliśmy sobie, z żoną, urlop i wróciliśmy do Krakowa o dwa dni wcześniej, niż planowaliśmy. O wybuch wojny się nie obawiałem, zresztą kto z kim miałby wojować? Było natomiast niejasne, czy rozwój wypadków wzmocni, czy też osłabi państwo polskie. Zależne to było oczywiście od tego, czy po przez protesty strajkowe przebiega wola naprawy sposobu rządzenia i funkcjonowania państwa, jego gospodarki i struktur, czy też zwyciężą postawy antypaństwowe, by rwać jak najwięcej z tej płachty sukna, jaką jest Rzeczpospolita, choćby miały z niej pozostać tylko strzępy.

Osobiście przez kilka tygodni byłem optymistą, zwłaszcza po częstochowskiej ho-

mili kardynała Stefana Wyszyńskiego, wzywającego do przerwania strajków. Obserwując jednakże działalność powstałego w Stoczni Gdańskiej Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, kierowanego przez L. Wałęsę i włączenie się „ekspertów-doradców” w osobach ludzi z kręgów opozycji: Mazowieckiego, Geremka, Cz. Bieleckiego, Wielowieyskiego, Lityńskiego itd., zmieniłem swe zdanie. Ocenilem szybko, że nie chodzi bynajmniej ani o A. Walentynowicz, ani o wycofanie podwyżek cen mięsa, ani nawet o szumne „21 postulatów robotniczych”. Już we wrześniu-październiku przeczuwałem, że to dopiero początek „rewolucji”, czy „kontrewolucji”, jak mówili niektórzy, której celem rzeczywistym są ambicje, pieniądze, władza i zmiana ustroju. Że koło historii dokonuje swego pełnego obrotu, nawet nie o lat pięćdziesiąt, lecz o dwieście.

W roku 1980 miało 50 lat od czasu, gdy w świadomy sposób zacząłem postrzegać świat otaczający mnie wokół. Swe wspomnienia osobiste z tych lat spisałem w tej książce. Stąd tytuł opowiadania: „WSPOMNIENIA 1930-1980”. Przypomniłem też ważniejsze wydarzenia, dziejące się aktualnie w Polsce i na świecie, bo one też były częścią mego życiorysu.

Pół wieku to okres niemały, jak na jedno ludzkie życie, i wystarczająco długi dla opisu własnych przeżyć i wspomnień. Zwłaszcza, że wspomnienia potrzebują pewnego dystansu czasowego od dnia bieżącego. Poza tym układają się zwykle określonymi etapami-rozdziałami, związanymi z życiem rodzinnym, pracą zawodową, miejscem zamieszkania, wydarzeniami społecznymi w kraju.

Dla mnie rok 1980 stanowił niewątpliwie zamknięcie określonego etapu rodzinnego, związanego z usamodzielnieniem się synów, którzy sami zaczęli decydować o swym życiu. Równocześnie zaczęły zmieniać się warunki mej pracy zawodowej, przez wyraźnie zarysowującą się dezintegrację stosunków międzyludzkich w zakładzie pracy. Wreszcie rok 1980 zapoczątkował gruntowną zmianę stosunków społeczno-politycznych w Polsce.



Rodzina w komplecie anno Domini 1980

Kraków, grudzień 1999 r.